SOBÓTKA

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 23. Poznań, dnia 4 czerwca 1870. Rok II.

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Inny zupełnie charakter posiadał trzeci członek triumwiratu, sąsiad najbliższy pana Filipa, pan Walenty Matusiński, piekarz i cukiernik zarazem. Pan Walenty był to człowiek ogromnego wzrostu, silny, barczysty, ogorzały, z czarną gęstą czupryną, czarnym wąsem i brodą, aż po pas sięgającą. Ponury, namarszczony małomówny, nie umiał i nie chciał zjednać sobie współobywateli, którzy mówili powszechnie, że z ciemnych oczu pana Walentego jakoś niedobrze coś patrzy. Szanowni obywatele miasteczka D. nie mylili się bynajmniej; dusza, która z czarnych iego źrenic na świat boży spoglądała, była rzeczywiście nieszczególną. Główną wadą téj duszy, była zazdrość i zawiść bez granic. Szczęście i zamożność drugich były solą w oku pana Walentego; radość ich wywoływała zgryzoty w jego sercu, a wesołym śmiechom i piosnkom wtórowało echo westchnień i zgryźliwych pomruków, zpiersi jego ulatujące. Okropne to usposobienie było owocem najmłodszych lat p. Walentego. Jako brat mleczny bogatego panicza, został w piątym roku życia wziętym do zabawienia swego rówiennika. Któż nie zna losu podobnych towarzyszów zabawy? Biedny chłopiec znosić musiał fumy zepsutego i grymaśnego paniczyka, ponosić karę za złośliwe tegoż wybryki, przyjmować z cichém poddaniem kułaki, rózgi i policzki od całego niemal domu, od najniższych sług nawet, — czyliż więc obwiniać go można, że dusza jego, tylu poniżeniami zraniona, napełniła się nienawiścią i jadem zazdrości przeciw wszyst-



Hrabia Karol de Montelambert.

kim, którzy jakąkolwiek mieli nad nim wyższość, a okrutną chęcią dręczenia i znęcania się nad tymi, co niżéj stali od niego? — Biada ludziom, którzy, pod pozorem dobrodziejstwa, ofiarnego kozla w dom przyjmują, cierniową koroną opasują jasne czoło dziecięcia, niewinne serce poją żółcią nienawiści, uczucie honoru w pierwszych chwilach rozwoju tłumią poniżeniem i nieszczęśliwéj ofierze swego kaprysu najokropniejszą gotują przyszłość! — Pan Walenty był zamożnym obywatelem, miał żonę i dwoje dzieci, żadne nie spotkało go nieszczęście, żadnéj nie popełnił zbrodni, — jakaż więc mizantropii przyczyna? Ale, odpowie mi na to słusznie doświadczony psycholog, pan X. i N. bogatszymi byli od niego, pan H. miał lepsze łąki, pan B. więcéj lasu, pan Y. utrzymywał syna w szkołach, a córka pana W. była guwernantką w pobliskim dworze, — pan Walenty czuł się więc w porównaniu z tymi abywatelami bardzo, bardzo ubogim i poniżonym. — Charakter ten jest aż nadto prawdziwym. Znajdujemy go w każdéj sferze życia, z tą różnicą, że im więcéj posiada środków materyalnych, znaczenia, wolności, tym więcéj się rozwija i doskonali. — Gdyby pan Walenty miał wielki majątek, wielkie zdolności i wykształcenie, gdyby swobodniéj mógł działać, byłby strasznym dla swych nieprzyjaciół, ale będąc tylko miennym, mając mierną głowę, posiadając jedynie umiejętność pisania i czytania, osadzony w małém miasteczku, gdzie go każde pilnowało oko, zamknął nienawiść i zazdrość swoją w sercu i żywił ją tam tak długo, aż się stosowna chwila otwartego nadarzyła czynu. Biada temu, kto go zaczepił; miał wtenczas upragniony powód do wylania swéj zawiści, do spełnienia okrutnéj zemsty. Przy takiem usposobieniu pan Walenty był zawsze ponury. Nie przemówił do nikogo bez potrzeby, a gdyby przemówił, to ostro i złośliwie; nie widziano nigdy uśmiechu na jego twarzy; nikt zaufaniem, ani przyjaźnią jego pocieszyć się nie mógł; dla żony był obojętny, dla dzieci surowy, nie popieścił, nie pocałował, nie pochwalił ich nigdy. Pomimo tak przyjemnego usposobienia, był pan Walenty jednakowoż jednym z owych trzech świeczników, całemu przyświecających miasteczku. Pochodziło to z czterech głównych przyczyn. Nasamprzód majątek jego był największym po majątku pana Filipa, po drugie, wyroby jego pieca, arcydzieła w swoim rodzaju, posiadały sławę w całéj okolicy, po trzecie, mieszkańcy miasteczka zgodzili się już z jego charakterem, mianowicie mniéj zamożni, których terroryzował głosem, miną i zbójeckiem prawdziwie wejrzeniem, a po czwarte i najważniejsze, pan Walenty był głośnym powszechnie politykiem, dyplomatą, prawnikiem, mężem stanu. Z zapałem czytywał Dziennik Poznański, Gazetę Toruńską, a zbadawszy stan polityczny całego świata, co niedzielę, po nabożeństwie w domu pana Filipa zgromadzone pouczał obywatelstwo. Była to jedyna chwila w całym tygodniu, w któréj wymowa jego w całym jaśniała blasku. Rozumie się, że cały świat był w jego oczach zbiorem głupców, wszyscy monarchowie, politycy i dyplomaci ludźmi bez głowy, bez serca, bez czci i wiary, wszystkie urządzenia, wszystkie sprawy najprzewrotniejszemi w świecie wymysłami. Mędrszym był od Napoleona, Beusta, Bismarcka, cały świat przetworzyć by zdołał. Różnie o tém myśleli jego słuchacze, nie sprzeciwiali mu się jednak; bojąc się popędliwych i szyderczych odpowiedzi. Pan Walenty był równie biegłym w prawie i sądowych obrotach, w podobnych też sprawach jego najwięcéj o radę pytano. Przy procesach sam często jednéj ze stron narzucał swoje usługi, a pośrednictwo i udział w téj walce prawdziwą był dla niego rozkoszą. Pan Walenty to wielka głowa; szkoda, że nie został królem, ministrem, a co najmniéj adwokatem!...

Otóż tryumwirat, w którego ręku spoczywały sprawy miasteczka D. Skoro tylko który z obywateli w jakiéjkolwiek był potrzebie, skoro plan jaki urzeczywistnić zamierzał, obchodził z koleii proboszcza, pana Filipa i pana Walentego, każdemu rzecz całą wyjaśniał, każdego prosił o radę. Proboszcz krótko i wyraziście objawiał swe zdanie, pan Filip pytał się o to, co ksiądz w téj sprawie za słuszne uważa, pan Walenty obznajmiwszy się z opinią swoich współwładzców, odpowiadał mrukliwie: „No, to róbcie, jak im się tam wydaje, pocóż mnie jeszcze molestować?“ — i rzecz dziwna, wszyscy trzéj zawsze jednego byli zdania. Ksiądz proboszcz nie miał nigdy powodu do gniewu i zniecierpliwienia, bo nigdy przeciwnych nie znajdował zapatrywań; pan Filip myślał sobie Bóg wie co o proboszczu, Matusińskiego nienawidził całą duszą, ale obydwom kłaniał się zawsze z grzecznym uśmiechem, częstował obydwóch i obsypywał względami; pan Walenty, chociaż proboszcza w porównaniu ze sobą, za pustą uważał głowę, chociaż z dręczącą serce zazdrością spoglądał na dostatki i wesołość pana Filipa, zatajał jednak podobne myśli i uczucia i obydwom zawsze ustępował. Ta harmonia, będąc zarazem podstawą ogólnéj zgody, w całém panującéj miasteczku, od dawnych trwała już czasów. Niestety, zbliżyła się chwila, w któréj i ona zniknąć miała jak wszystko, co ziemskie, chwila, która tajone zawiści i nieprzyjaźni na jaw wywołała, która trzech mężów do otwartéj pobudziła walki i całe miasteczko w przepaść domowéj wtrąciła wojny. Jak zazwyczaj, tak i tutaj przyczyną téj katastrofy była nadobna córa Ewy.

II.

Zalotnicy.

Znaną powszechnie jest dola każdego niemal księdza, z ludowéj, albo rzemieślniczéj pochodzącego sfery. Po kilku głodowych latach wikaryatu, następują lata śmiercią tylko, lub posunięciem na stopień wyższy ograniczone, lepszéj, a częstokroć doskonałéj, jak to nazywają „kondycyi“, — sielskie lata proboszczowskiego żywota. Razem z tym błogosławieństwem jednakże, jakoby dla przypomnienia niedoskonałości ludzkiego szczęścia, zjawia się prawdziwie egipska częstokroć dla biednych proboszczów plaga, — rodzina. Rodzice od pierwszéj chwili szkolnéj nauki kochanego synka, marzyć zaczęli o błogiem far niente w przyszłości na księżym jego chlebie; prośbami, łzami, często nawet groźbą przekleństwa niechętnego do kapłańskiego przymusili stanu; — zaraz więc skoro jakikolwiek sposób życia dostawał

mu się do ręki, z całém gospodarstwem do skromnego zjeżdżają probostwa. Za rodzicami gromadzą się bracia, siostry, kuzyni, kuzynki, stryje, stryjenki, wujkowie, ciocie — słowem cała koligacya in corpore. Każdy chce rządzić w domu biednego księdza, każdy zyskać najwięcéj, każdy jednak całą duszą troskliwy jest o dobro szanownego dobrodzieja.

Ksiądz Teofil z tego względu pod zupełnie inną urodził się gwiazdą. Rodzice pomarli w pierwszych latach seminaryalnych jego studyów, za nimi poszedł brat jedyny, dalszych krewnych nie było jakoś wcale — dosyć, że ksiądz Teofil byłby się czuł strasznie samotnym w cichości swego probostwa, gdyby nie ostatnia z całéj rodziny latorośl, którą nie tylko w dom przyjął, ale i wychował i gorącą otoczył pieczołowitością. Była to Zosia, córeczka po jedynym, rychło zgasłym bracie a w czasie wypadków, które naszą zajmują uwagę, panna Zofia, dziewczyna lat dwudziestu, śliczna jak pączek róży, z oczyma jak niebo, z czerwoną bózią, perłowemi ząbkami, jasnym a gęstym włosem, z ładną rączką, małą nóżką, zgrabną kibicią, — słowem pieścidełko, jakich mało. Od czwartego roku życia, bawiąc w domu proboszcza wychowując się pod jego opiekuńczém okiem, wszystko jemu jedynie zawdzięczając, przyzwyczaiła się kochanego dobrodzieja czcić, szanować, miłować jak ojca, jemu całem sercem być oddaną i posłuszną i wraz z wielebną panią Kogucińską wszelkie około dobra jego dokładać starania. Proboszcz byłby swojéj Zosieńce nieba przychylił, jak to mówią; ojcowską otoczywszy ją opieką i miłością, marzył o jéj przyszłém, nieustającém szczęściu, zbierał grosz do grosza, aby jéj szczupły powiększyć mająteczek i całemi godzinami namyślał się nad tém, komuby ze znajoméj sobie młodzieży skarb tak drogi na całe powierzył życie. A jednak, dziwna i nieodgadniona naturo ludzka! — i względem niéj nie mógł się pozbyć cierpkiéj rubaszności swojéj, i względem niéj ani słowem, ani gestem całéj siły swego uczucia nigdy okazać nie umiał. Pod wpływem téj szorstkiéj, żelaznéj i zimnéj na pozór natury rzewny i uczuciowy charakter Zosieńki stał się, słabym nieśmiałym i do niewolniczego skłonnym posłuszeństwa. Nie raz biedna dziewczyna, usłyszawszy ostre słowo z ust dobrodzieja, albo zmuszona poświęcić dla niego dziecinną rozrywkę, w swéj milutkiéj zamykała się izdebce, a usiadłszy na białém łóżeczku, rzewnemi płakała łzami. Proboszcz ani przeczuwał, jak często przykrość jéj sprawia, sądził ją podług własnéj zahartowanéj natury; uważał za szczyt miłości dbać o jéj dobro, — okazywać tę miłość było dla niego rzeczą niepodobną i zbyteczną; nie wiedział, że serce kobiety wymaga zewnętrznego objawu. Naturalną to zresztą było stroną w jego charakterze; i dla niego nikt w młodości ani pieszczot, ani kochającego nie miał słowa, nigdy ich nie zaznał, nigdy nie czuł ich potrzeby!... —

Zosia, jako panna dorosła, śliczna, wykształcona, zamożna, jako kuzynka księdza proboszcza, była pierwszą partyą w całém miasteczku i najbliższéj tegoż okolicy. Nie jednemu téż z miejskiéj młodzieży, niejednemu z sąsiednich ekonomów, rządzców, pisarzy i gorzelanych serce rwało się za nią, ale żaden otwarcie o rękę jéj dobijać się nie śmiał. Dla tego téż krótko przed wypadkami, które opisać postanowiliśmy, panna Zofia trzech tylko zdeklarowanych miała zalotników i jednego śmiało występującego wielbiciela. Wielbicielem tym, rzadka to bowiem osobistość, od któréj zacząć nam wypada, — pan Piórkiewicz, nauczyciel miejscowy, autor in spe ciekawéj broszury o zgasłym przed dwustu laty kanoniku poznańskim, mąż pełen nauki i poczucia własnéj godności. Pan Piórkiewicz, pomimo dawno przekroczonéj trzydziestki, zdawał się być młodszym najmniéj o lat dziesięć. Był wysoki, szczupły, kościsty, twarzy pociągłéj, regularnéj, oczu wielkich, piwnych, spokojnych. Zawsze starannie wygolony, w czyściuteńko wyczyszczonéj czamarce i ogromnéj rogatywce, dziwnie był poważny i namaszczony. Powaga ta malowała się daléj we wszystkich jego ruchach, które widocznie naprzód były obrachowane i wymierzone; uśmiechał się zawsze do pewnéj tylko rozwartości ust, kłaniał się zawsze równie nizko, chodził zawsze szybkim, ale regularnym krokiem, mówił bardzo monotonnie i jak najczystszą polszczyzną; prócz tego nie palił ani cygar, ani tytoniu i brzydził się piwem, jako napojem nienarodowym. Powaga ta była raczéj nudną, jak śmieszną. Obok niéj posiadał pan Piórkiewicz pewien rodzaj naturalnéj przebiegłości, którą jednak umiał zgrabnie maskować poważnie nudną słodyczą i miną, którą mniéj estetycznie, ale bardzo trafnie „zgłupia-frant“ nazywają. Piórkiewicz uwielbiał Zofią, ale o małżeństwie z nią w najśmielszych snach nigdy nie zamarzył. Podjął on się jedynie wykształcić, jak mówił, tę anielską duszę; nudził więc biedną dziewczynę mdłą rozmową, czytaniem Woronicza i Antoniewicza, którzy dla niego dwoma niedościgłemi byli ideałami, i niekiedy płodem własnéj muzy, polsko-religijnym napiętnowanéj puryzmem. — Nie możemy jednak ręczyć czytelnikowi, czy to idealne, skromne uwielbienie nie było prostą komedyą w celu zyskania względów proboszcza, którego protekcya w poblizkich dworach, zajęcie wyrobić mu mogła. Niejeden z obywateli był tego zdania; my nic pewnego powiedzieć nie możemy, bo Piórkiewicz nikomu nie pokazał, co się poza tą lukrecyową ukrywało twarzą.

Z liczby zalotników ślicznéj panny Zofii najwięcéj na naszą zasługuje uwagę syn i jedyne dziecko pana Filipa Baryłkiewicza, Kubuś Baryłkiewicz. Był to chłopiec, który rzeczywiście mógł jako zalotnik mieć nadzieję powodzenia. Lat liczył dwadzieścia i cztery, wzrostu był nie wielkiego, ale regularnéj, zgrabnéj i silnéj budowy ciała; twarz jego blada, ściągła nosiła piętno pewnego zmęczenia, ale czarne oczy strzelały życiem i dowcipem, wielkie białe czoło, kruczemi, zawsze starannie uczesanemi okolone włosami, świeciło inteligencyą, która w rzeczywistości w nie tak znacznéj mierze poza niem się kryła. Kubuś miał bardzo wiele zdrowego, naturalnego rozumu, był sprytny, dowcipny, zuchowaty, niekiedy nawet zawadyaką być umiał, ale książkowa mądrość obcą mu była zupełnie. Siedział wprawdzie lat kilka w trzemeszeńskiem gimnazyum, ale zamiast się uczyć, wybijał szyby kupcom mojżeszowego wyznania, wyrywał kołki z płotów, stare baby, po ulicach bułki sprzedające, razem z budkami na bruk wywracał, — słowem niestworzone wyprawiał figle. Dano

mu nareszcie radę odejścia, a ojciec, który dla wszystkich podwładnych swoich bardzo był srogi, wytuzowawszy go porządnie, za sklepowym zasadził stołem. Przy tak łatwém a ruchliwem zatrudnieniu, Kubuś czuł się w swoim żywiole. Z podziwienia godną zwinnością usługiwał kupującym, sypał koncepciki, pannom prawił komplementa, gadatliwe kobiety wyciągał na słówko, gospodarzy pytał o urodzaje, — każdemu umiał się przypodobać i trafić do smaku. Z jednym tylko ojcem nigdy pogodzić się nie mógł; był względem niego grzecznym, posłusznym, ale zimnym i niedowierzającym. — Pan Filip w głębi duszy wiele ukrywał ambicyi, chociaż na zewnątrz słabości téj nigdy nie objawiał. Pragnął jedynaka na uczonego i znakomitego wykształcić męża i z tego téż powodu lat kilka utrzymywał go w szkołach. Kiedy się więc różowe jego nadzieje o uparte lenistwo i lekkomyślność Kubusia rozbiły, ostatnie płomyki ojcowskiéj miłości w sercu pana Filipa zagasły na zawsze. Przed ludźmi chwalił syna i niesłychanie zdawał się być z niego zadowolnionym, w rzeczywistości zaś uważał go za darmozjada i ciągłym prześladował gniewem. Chcąc się w jakikolwiek sposób ponad swoich wywyższyć współobywateli, postanowił ożenić go z Zofią i surowo o względy jéj starać się rozkazał. Kubuś lubił płeć piękną, serce miał wolne zupełnie, chociaż więc cichy i nieśmiały charakter Zofii nie wielkim napełniał go pociągiem, częścią z obrachowania, częścią z lekkomyślności, częścią dla dogodzenia ojcowskiéj woli, śmiało i zgrabnie rozpoczął zaloty. Chciał on prócz tego w ten sposób największemu z nieprzyjaciół swoich porządnego wypłatać figla; nieprzyjacielem tym był Bartłomiéj Matusiński, syn znanego nam piekarza i cukiernika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

METAMORFOZY.

Póki dziewczę jak aniołek,
Za ptaszkami piosnkę dzwoni:
Serce u niéj jak fijołek
Tajemniczéj pełne woni.

Lecz gdy rajskie zmilkną śpiewy,
I roztleje uczuć burza.
To serduszko młodéj dziewy,
Jak stulistna gore róża.

Im w świat daléj — mniéj los płuży
Ostrzéj w serce ból się wpija:
Zniknie barwa krasnéj róży
Zblednie liczko jak lilija.

Cierpi, tęskni do ostatka
Lecz nie zdradzi bólu słowy, —
Aż z białego lilji kwiatka,
Bóg ją zmieni w kwiat cierniowy.

Władysław Bełza.

Słów kilka o malarstwie i malarzach w Polsce.

Nareszcie i Poznań zdobywa się na wystawę sztuk pięknych. Bogu dzięki! bo lepiéj późno, jak nigdy. Dotąd poznańskie pod wielu względami przodujące innym prowincyom polskim, pod względem zamiłowania sztuk pięknych stało poza wszystkiemi. Fenomen ten da się do pewnego stopnia usprawiedliwić. Naciśnięte przewagą kapitałów, zagrożone wywłaszczeniem, z siedzib ojczystych przez żywioł potężny, bogaty a przemyślny, kresy te nasze zachodnie całą swą działalność i energię zwrócić musiały na pole walki o byt materyalny. Utrzymać się przy ziemi ojców, finansowo i materyalnie stanąć na równi z przybyszami, niedać się wypchnąć, wyprzeć, ani w roboczy proletaryat zamienić, oto, co było a co i jest jeszcze główném zadaniem poznańskiego. Nie dziw więc, że w tym upartym na śmierć i życie boju, wyrodziła się pewna jednostronność dążeń, potrzeb i pojęć. Poznańskie, kolebka tylu znakomitych profesorów, agronomów, filozofów, ekonomistów, nie wydało ani jednego poety, ani jednego artysty pierwszorzędnego. Gdy taki Żytomierz lub Kamieniec Podolski miały stałe i dobre teatra, Poznań bez niego się obywał, o wystawie obrazów ani mowy nie było. Zdawało się, że społeczeństwo poznańskie z szeregu potrzeb swych wykreśliło te wszystkie rozkosze duchowe, jakie dawać człowiekowi, jest przeznaczeniem sztuk pięknych.

Jednostronność ta, jak wszelka jednostronność musi być szkodliwą. Jeżeli dla narodu w naszém położeniu będącego niebezpieczną byłoby rzeczą zbyteczne rozmiłowanie się w działach wyobraźni, jeżeli strzedz się powinniśmy owego, że się tak wyrażę rozhartowania, jakiemu uległa Grecya lub późniéj Włochy w czasach najświetniejszych sztuki, toż znowu niemniéj niebezpieczném jest zerwanie ze wszystkiem czego do dzieła utile zaliczyć nie można.

Miłość ojczyzny gorąca i czynna, gotowość do poświęceń, ofiarność, są to uczucia niezupełnie z absolutną praktycznością chodzące w parze i tylko dusza przywykła do wyższych, idealniejszych porywów ulegać im może. A właśnie sztuki wszelkiéj, byle prawdziwéj sztuki zadaniem, jest ducha ludzkiego w sfery takie unosić. I kto wie ażali owo pominięcie całéj estetycznéj strony wychowania, nie jest głównym powodem téj apatyi, tego indeferentyzmu młodzieży poznańskiéj, nad którą ludzie myślący coraz głośniéj, i z coraz większą ubolewają goryczą.

Z radością téż witać należy objawy, dowodzące, że i poznańskie zaczyna zwracać się ku tym kwiatom ducha ludzkiego, które Grecy tak wdzięcznie w dziewięć ślicznych dziewic wcielili, a bez których życie ludzkie byłoby zaprawdę dziwnie smutném i chmurném. Gorące zajęcie się teatrem było pierwszym takim objawem, drugim jest zamierzona wystawa. A przy sposobności téj ostatniéj, nie od rzeczy może będzie poznajomić czytelników Sobótki choć bardzo pobieżnie z dziejami malarstwa w Polsce, przypomnieć im znakomitszych artystów czasów ostatnich.

I.

Mylne, choć dość upowszechnione jest u nas mniemanie, jakoby w dawnéj Polsce mało się zajmowano sztukami, lekceważono je, zapominano o nich. Prawdą jest żeśmy nie stworzyli osobnéj szkoły malarstwa, jak inne narody, żeśmy niewydali gienialnych malarzy, rzeźbiarzy i architektów. O powodach tego ubóstwa naszego możnaby szeroko rozprawiać, ale to do rzeczy nie



Szkoła psów.

należy. To pewna że od najdawniejszych czasów są ślady historyczne dowodzące, że cały ogół wykształcony gorąco i serdecznie lubił sztuki, popierał je, zajmował się niemi.

Już w początku XV wieku istniał cech malarski w Krakowie i z kolei w latach 1490, 1497 i 1511 otrzymywał przywileje i przepisy, a w r. 1570 Zygmunt August takowe osobnym aktem potwierdził. Podobny cech czyli bractwo istniało w Poznaniu już od r. 1574 i obszerny przywiléj od Stefana Batorego otrzymało w kilka lat późniéj (1579). Toż samo i w tymże czasie we Lwowie. Królowie i magnaci nasi zwłaszcza w XVI wieku tworzyli galerye obrazów, sprowadzali artystów z Włoch i Niemiec, zdolnych ludzi, własnym kosztem wyprawiali za granicę. Cały szereg królów gorąco miłował sztuki, a niektórzy z nich sami byli artystami, jak Zygmunt III i Stanisław Leszczyński (istnieje jego głowa Chrystusa i portret pastelowy bardzo dobre). Z panów także i pań naszych taki n. p. Czapski, taka Czacka Beata, taka Mniszchowa, taki wreszcie Tadeusz Kościuszko zostawili po sobie wcale cenne obrazy.

Już z czasów Kazimierza Wielkiego pozostałe okna malowane w kościele Panny Maryi w Krakowie dowodzą, jak wysoko sztuka ta stała wtedy u nas. Władysław Jagiełło miał nadwornego malarza Jakóba Wężyka, a Kazimierz Jagielończyk Jana z Nissy. W złotym wieku Zygmunta I i jego syna, w czasach Rafaela i Michała Anioła sztuki u nas krzewić się poczęły i część wykształcona narodu coraz większego do nich nabierać zamiłowania. Jan Caraglio odlewał medale, Jan Marya Mosca, Jan z Sienny, Bartłomiéj Florentnych rzeźbili, a Jan Dürer, brat genialnego Albrechta malował, gdy znów Melchior Bayr i Albert Glim wykonywali przepyszne roboty złotnicze.*)

Zygmunt III i Władysław IV niemniéj gorąco opiekowali się sztukami, sprowadzając artystów i obrazy. Za ich to zleceniem i pod ich opieką dość sławny i rzeczywiście utalentowany Dalabella sprowadzony z Włoch w r. 1600 przez lat 50 bez przerwy malował obrazy historyczne, religijne oraz portrety rodziny królewskiéj i dygnitarzy w takiéj liczbie że p. Rastawiecki 40 obrazów był jeszcze w stanie wymienić i opisać; za nich także znakomity budowniczy i malarz al fresko, a zarazem wielkiéj sławy portrecista Piotr Danckerts de Ry budował i malował kaplicę św. Kazimierza w Wilnie, arcydzieło zdaniem znawców, i lat kilkadziesiąt spędził w Polsce. Wtedy również natchnieniem i naiwną wiarą przypominający przed rafaelowskich malarzy, Leksycki zdobił klasztory krakowskie utworami swemi.

Jan III i obaj Sasi niemniéj serdecznie opiekowali się sztuką, a zwycięzca Chocimski, ulubione Wilanowo zaludnił obrazami i posągami, a nawet rodzaj szkoły malarskiéj tam założył. Po błyskach jednak XVI i początków XVII wieku, dopiero panowanie Stanisława Augusta stanowi znów świetną epokę pod tym względem, która na osobne rozpatrzenie zasługuje.

*) Słownik malarzów polskich Rastawieckiego Edwarda.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Policya i rzezimieszki w Londynie.

Może już nieraz zdarzyło się jakiemu turyście stałego lądu, że po jednéj lub dwóch wycieczkach do Londynu powracał do siebie, nie zobaczywszy, jak mniemał, żadnego konstabla (police-man), chociaż na każdéj pewnie ulicy spotykał ich po kilku. Pochodzi to ztąd, że ludzie czuwający nad porządkiem publicznym, nie noszą tam ani mundurów, ani broni, a mieszkańcy kontynentu przyzwyczajeni są widzieć ich z mieczem płomiennym w ręku. Dzisiejsza policya angielska jest instytucyą nie bardzo starą. Do r. 1828 w Londynie znano tylko stróżów nocnych, którzy zwykle w swych budkach smacznego używali spoczynku, albo téż poważnie przechadzali się po mieście, zaopatrzeni w latarnie, aby ich złodzieje i włóczęgi z daleka dojrzeć mogli. Na przypadek zaś gdyby złodziéj nie dostrzegł ostrzegawczego światła, stróże ci nosili ciężkie okute kosztury, któremi ile możności głośno starali się stukać po bruku, a nadto wrzaskliwym głosem wyśpiewywali godziny i donosili usypiającéj ludności Londynu o stanie pogody.

W obec takiego urządzenia czcigodny cech złodziei niezakłóconą cieszył się pomyślnością, i wkrótce działalność jego do przerażających doszła rozmiarów. Na początku bieżącego stulecia wartość skradzionych corocznie przedmiotów ceniono na 1,800,000 funtów szterlingów (około 11,000,000 tal.), a liczba trudniących się rzemiosłem złodziejskiém pomiędzy latami 1780—1800 z trzystu urosła do 3000. Śledzenie zbrodni wszelkiego rodzaju powierzone było oddzielnéj klasie łapaczów, którzy za każde doniesienie prowadzące do odkrycia, otrzymywali jako premium 40 funtów szter. Ludzie ci utrzymywali ciągle stosunki z podejrzanemi włóczęgami, upatrywali sobie zdobycz, i wtedy ją dopiero chwytali, gdy kradzież została już dokonaną; prawdziwy ich bowiem interes nie polegał naturalnie na zapobieganiu zbrodniom, lecz owszém na dopuszczaniu ich, celem pozyskania nagrody. Do 1800 roku w prawie angielskiém istniało jeszcze 160 występków pociągających za sobą karę śmierci, do których między innemi liczono uszkadzanie tam wodnych i drzew owocowych; gałęzie więc „suchego drzewa", jak nazywano szubienicę w języku technicznym, pełne były zawsze owoców, a według kroniki współczesnéj r 1783 w dwóch dniach powieszono aż czterdziestu delikwentów. W starém mieście, czyli City była wprawdzie straż uliczna, byli patroliści i konstablowie; lecz korporacye te pod osobną zostawały komendą, i każdéj z nich wszelkie wkraczanie w obręb działania innych surowo było wzbronione. Zdarzyło się naprzykład jeszcze w r. 1826 że zrabowano w nocy jakiś skład herbaty i zdobycz najspokojniéj uwieziono na furze parokonnéj. Stróż nocny, stojący o kilkaset kroków na rogu ulicy, był świadkiem téj kradzieży, lecz niemógł jéj zapobiedz, bo miejsce zbrodni nie leżało w jego dzielnicy. Oddawna téż stróże nocni byli przedmiotem pocisków dowcipu londyńskiego. Znaną jest anegdota o człowieku chorującym na bezsenność, który wyczerpnął bezskutecznie wszystkie środki lekarskie; aż w końcu ktoś mu poradził, żeby się ubrał w płaszcz stróża nocnego, wziął w rękę kosztur i latarkę i wszedł do budki, poczém rzeczywiście natychmiast usnął snem smacznym i głębokim.

Pierwszém szczęśliwszém w tym względzie usiłowaniem było zaprowadzenie przez Peel'a tak zwanych Bowstreet-patrolów, a 1828 r., za zezwoleniem parlamentu, uorganizowano wreszcie policyą na sposób dzisiejszy. Nie jednem pessymista upatrywał wtedy w tym środku ruinę wolności angielskiéj, narzędzie despotyzmu, a policemanów długo dwuznacznie przezywano Peeterami*); wkrótce jednak przekonano się o wielkiéj ich użyteczności. Siła policyjna stolicy Anglii składa się obecnie z naczelnika (Chief-Comissioner) dwóch niższych dowódzców, 18 nadzorców, 133 dozorców, 625 sierżantów i 4,954 konstablów, których zadaniem jest przekonywać się codziennie o szczelném zamknięciu bram i okien 400,000 domów, na przestrzeni czterech mil kwadratowych, i rozciągać dozór nad 8,000 złodziejów z profesyi i 40—50,000 mieszkańców podejrzanych. Każdy policeman pełni obowiązki przez ośm

Lu[illegible] Roberta Peel, albo rozbójnikami.

godzin na dobę, a służba ta może być dzienną albo nocną. W razie ważniejszéj jakiéj zbrodni, naprzykład morderstwa lub rabunku, wszystkie straże Londynu w przeciągu dwóch godzin otrzymują o niéj wiadomość. Stare miasto do dziś dnia jeszcze posiada oddzielną policyę; i słusznie bardzo, bo w City przewija się codzień około 400,000 ludzi, z których niejeden nosi przy sobie znaczne sumy pieniężne, a za pieniędzmi jak muchy za miodem, ciągną zgraje rzezimieszków i okpiszów. Ciasne uliczki i przejścia, niezliczone magazyny i ogrom towarów naładowanych na wozy, robią z téj części miasta prawdziwe Eldorado złodziei. Totéż ajenci kupieccy mają tam zwykle skrzyneczki z banknotami przymocowane łańcuchami do ciała, albo téż wycinają wprzód z brzegu pieniędzy papierowych po kawałku, a wtedy ten tylko otrzymuje za nie gotowiznę, kto składa i kawałki brakujące. Policyi innych dzielnic miasta nie wolno mięszać się w sprawy City, i zapewniają, że niedawno jeszcze ktoś w nocy zawołał na zwyczajnego konstabla, iż w przyległéj ulicy zabijają policemana na co konstabl odpowiedzięć miał najspokojniéj: „żałuję bardzo, że nie mogę go ratować, ale przepisy niepozwalają mi wchodzić do City.“

Na policyantów przyjmują tylko ludzi silnie zbudowanych, umiejących czytać i pisać, a szybko bardzo, bo w kilka tygodni, wyuczają ich musztry wojskowéj. Następnie nowozaciężny przechodzi na praktykę do którego z sądów policyi poprawczéj, gdzie przez pół roku lub dłużéj uczą go jak dobry konstabl powinien się zachować, zostawszy powołany na świadka, w jaki sposób jasno i zwięźle pisać ma raporta i t. p. Wtedy dopiero otrzymuje godła urzędu swego, laskę i grzechotkę, z zastrzeżeniem, aby pierwszéj używał tylko ku obronie osobiste, a drugą nie dawał sygnałów, wyjąwszy w naglącéj konieczności. Po roku najdaléj uczeń, doskonale już wyćwiczony, zamienia się w chodzącą maszynę, która prosto jak świeczka, spokojnie lecz energicznie kroczy po ulicach Londynu, zarówno nieprzystępna litości jak obawie. Wszelako konstablowie tę surowość urzędową wynagradzają sobie w oddzielnych lokalach, gdzie nieżonaci szczególniéj schodzą się na gazety i wspólne biesiady. Po kilku zaledwo miesiącach czynnéj służby konstabl przyzwyczaja się do spania w dzień a czuwania w nocy; lecz nabywszy raz téj wprawy, nie utraca jéj już nigdy.

Sir Robert Peel, organizując policyą londyńską, miał niezawodnie na celu użycie jéj, w razie potrzeby, przeciw zawichrzeniom politycznym; bo w Anglii śmiertelne nawet uderzenie pałką nie tyle oburza, co cięcie pałaszem lub ugodzenie kulą. Dotychczas jednak trzy razy dopiero: 1833 podczas zbiegowiska w Coldbath Field, roku 1849 przy pochodzie chartystów w wypadkach Hydeparku i z Fenianami policya czynnie starła się z masami. Tchórzliwi drżą na myśl samą powstania dwóch milionów ludzi, z których 50,000 należy do tak zwanych klas niebezpiecznych; obawa ta jednak zupełnie jest płonną. Owe 50 000 indywiduów podejrzanych rozpierzchnięte są po całém mieście, nie znają się wzajemnie, a tém samém wspólnie działać nie mogą. W Londynie zresztą niema właściwych ognisk powstania, niema placów centralnych mogących posłużyć za punkta zborne zamieszek. Proletaryat tameczny, jak wszędzie w wielkich miastach, skorym jest bardziéj do utarczek językowych niż do walki na ostre, a w obec atletycznych konstablów, rekrutowanych po większéj części z prowincyi, zniewieściałe dzieci stolicy czują się karłami i truchleją.

Przed trzydziestu jeszcze laty nie było wcale w Londynie policyi zamaskowanéj, czyli odkrywczéj (detective). Sir James Graham, nieśmiertelny wynalazca sztuki otwierania listów, uczuł ten brak i powołał do życia nową korporacyę. Należy do niéj 108 tylko osób, które pod rozmaitemi przebraniami wciskać się umieją we wszystkie, że tak powiemy, szczeliny życia publicznego. Przyroda, ubezpieczając zwierzęta od napaści, dała im sierść lub skórę podobnéj barwy jak tło ogólne tych miejsc, w których zwykle przebywają. Otóż policya londyńska podobnego używa wybiegu, bo występują zawsze w przebraniu najstosowniejszém do miejsca i okoliczności. I tak: na meetingach rolniczych zjawia się w masce małych dzierżawców; na zebraniach świątecznych klas pracujących odgrywa rolę skromnych rzemieślników, a na przechadzkach modnego świata przybiera strój gentleman'ów. (Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

(Hrabia Karol de Montalembert †. — Z ryciną). Wśród epoki samolubstwa i materyalizmu zejście ze świata Karola Montalamberta jednego z nielicznych a gorliwych obrońców naszych, jest stratą wywołującą boleśne westchnienie z piersi całego narodu. Na szali jego szlachetnego serca przeważały uciemiężone narody. Polska, Grecya i Irlandya szczególnie go zajmowały.

W roku 1830 zaraz po powstaniu listopadowém, zaczął już bronić sprawy polskiéj w dzienniku l'Avenir, założonym przez niego i księdza de la Mennais. W r. 1833 napisał bardzo znakomitą przedmowę do książki Mickiewicza i wydał ją w tekście francuzkim pod tytułem: „Livre de pélérins polonais.“ (Księga pielgrzymów polskich). W Izbie panów r. 1836 popierał wymownie wniosek hrabiego Tascher, aby gabinet francuzki porozumiał się z innemi gabinetami w celu wypełnienie traktatów wiedeńskich na korzyść Polski. W r. 1838 z powodu adresu bronił praw Polski i domagał się protestacyi rządu.

Tegoż roku bronił z zapałem praw gościnności francuzkiéj na korzyść emigracyi polskiéj mówiąc: „syn i wnuk emigranta, urodzony na łonie emigracyi, mam najgorętsze współczucie dla niedoli emigracyi polskiéj.

W r. 1846 z powodu rzezi galicyjskiéj, w ognistéj mowie wykazał barbarzyństwo polityki austryackiéj.

W r. 1861 przybył do Polski aby poznać lepiéj jéj położenie i jéj cierpienia. Ta podróż natchnęła niezmordowanego naszego przyjaciela, do napisania wspomnienia gorącego o Polsce pod tytułem „Naród w żałobie.“ Mówiąc o hymnie „Boże coś Polskę“ w tych słowach zdaje sprawozdanie z wrażeń odniesionych.

„Słyszałem i uwielbiam wszystkie arcydzieła muzyki religijnéj i świeckiéj, dawnéj i nowéj, ale ani harmonie kaplicy Sykstyńskiéj zanadto wychwalane, ani te, które stworzyli Glück i Beethoven, tak mnie nie wzruszyły, jak ten śpiew natchniony najżywszą wiarą, boleścią i patryotyzmem, śpiew pochodzący z głębin niezmierzonych tajemnic.

Ostatnią jego pracą dla Polaków był nekrolog poświęcony hr. Władysławowi Zamojskiemu, zmarłemu w Paryżu r. 1868. Autor tego hołdu pośmiertelnego, tak mówi: „Biografia ta jest smutna, jest to bowiem żywot rozbitka, którego rozbicie całe życie trwało.“

Prace te któreśmy wyliczyli są tylko małą cząstką podjętych przez ś. p. hrabiego Montalemberta; jako urzędnik państwowy nieominął żadnéj sposobności by podnieść głos wymowny za cierpiącym narodem; jako obywatel korzystał z każdego wypadku tak w kraju jak téż i za jego granicami, ażeby zobojętniałych lub mylnie zapatrujących się na sprawę Polski oświecić i współczucie dla niéj wywołać.

Brak miejsca nie pozwala nam wyliczać wszystkich prac i zasług, jakie mąż ten dla ludzkości w ogóle a dla Polski w szczególe położył; ograniczamy się więc na krótkiéj wzmiance w któréj pragnęlibyśmy być tłomaczami głębokiego żalu po stracie najwierniejszego z obrońców naszych. Umarł dnia 13 marca z rana nagle prawie bez konania, czując się nie równie lepiéj kilka godzin przed śmiercią. Stosownie do woli zgasłego pogrzeb odbył się najskromniéj; bez żadnych mów. Oddawna nie widziano tak ogólnéj żałoby; różne urzęda, stronnictwa i klasy społeczeństwa były reprezentowane na pogrzebie; Polska przez garstkę swych synów na wygnaniu, pomiędzy któremi znajdowali się uczniowie szkoły w Batignolles.

Rycerzu krzyża — i wiary obrońco!
Dziś krzyż nad Tobą wznosi się w żałobie.
I jest zarazem pochodnią płonącą.
Na znak dla świata — a na chwałę Tobie.

Rzeczniku Polski, Tyś harfę Eolską
Jak syn jéj z ducha — zawiesił na grobie.
A każda modła twa była za Polską,
Więc wdzięczna Polska oddaje cześć Tobie!

* (Szkoła psów. — Z ryciną.) Pies należy do najinteligentniejszych zwierząt domowych. Gdyby posiadał tyle siły co koń lub wół, byłby nieocenionym wspólnikiem prac ludzkich i zabaw. Dobry myśliwy, owczarz, stróż, nareszcie samotnik melancholijny, nie oddałby tak wiernego towarzysza czworonożnego, nie raz za nic w świecie, bo potrzeba albo obyczaj życia jego obyć się bez niego nie może. Jakiejże dopiero wartości dla pani swéj, jest ów sybaryta Bonończyk, który za figle swe a nawet grymasy, prędzéj dostanie buzi, jak najuczciwszy bliźni. Albo ów poczciwiec styrany, co z panem swym rozwozi od domu do domu ciężkie brzemię węgla, warzywa, mleka, a leżąc w celi przy wózku na ulicy, brudami ścieków gasi pragnienie, podczas gdy pan jego lub pani po piętrach roznosi kupią. Albo mały szczekacz co na grzbiecie poważnego perszerona balansując jak w cyrku bajazzo, pilnuje towaru, gdy się woźnica oddali. Do jakich bo posług psów nie używają: pudel zmyślny panu swemu regularnie chodzi do redakcyi po świeżą gazetę, inny po bułki do piekarza, albo z zaprzaniem się swego apetytu nawet po mięso do jatek; a kiedy Jan Kazimierz na Szwedach zdobywał Toruń, wedle podania, pies przez wały z miasta do obozu królewskiego i z powrotem, nosił od wiernych mieszczan depesze. Psy zaprawiano do posług wojennych i policyjnych na wytropienie i chwytanie ukrytych nieprzyjaciół, a olbrzymy owe z góry św. Bernarda, iluż za to podróżnym nieszczęśliwym uratowały życie, wygrzebując ich z śnieżnéj zamieci. Psom smakosz zawdzięcza wytropioną zwierzynę, wywęszone trufle. W Paryżu mały gatunek psów zaprawiają na ekstyrpacyjne wojny ze szczurami, których miryady ostre ich kły marnują na polowaniach urządzanych wedle strategicznego planu w starych domach i katakombach. Słowem do najrozliczniejszych posług człowiek psa użyć może — dla pożytku i zabawy. Nie dziw tedy, że są amatorzy, którzy — jak ongi w Smorgoni dla niedźwiedzi — urządzają szkoły dla psów, jaką rycina nasza przedstawia. Szkoła taka istnieje np. w Leoberg pod Sztudgardem, — którą tedy polecamy wszystkim nieukom psiego rodzaju.

(Wystawa Przemysłowo-Rolnicza w Kościanie). Opóźniliśmy się nieco z dalszym ciągiem naszego sprawozdania — ale to z przyczyny od naszéj woli niezależnéj. Mały redaktor małego pisemka nieraz w niemałym jest kłopocie, chcąc czytelnikom w jednym numerze pewną skończoną całość podać. Artykuł za wielki — trzeba obciąć bez uszkodzenia wartości jego, — za mały — trzeba dodać, bo łaskawi czytelnicy Sobótki nie łatwoby przebaczyli śmiałość przesłania im paru kartek czystego papieru. Nie zawsze to jednak cel szczęśliwie osięgnąć można, czego świeżym przykładem jest opóźnione sprawozdanie z wystawy kościańskiéj. Owa świetna, niegdyś zajmująca umysły wszystkich wystawa, dziś już prawie utonęła w fali spraw nowych, tak że sprawozdanie nasze prędzéj pośmiertnem wspomnieniem nazwaćby można. Ale wspomnienia dobre nigdy nie są za późno — i na téj to tylko zasadzie, opieram nadzieję pobłażliwości czytelników.

Przejrzeliśmy już główną część czworonożnych okazów wystawy, pozostaje nam dział najwięcéj budzący zajęcia, u dżentelmenów, u starających się o posażne panny kawalerów, u śmiałych pogromców trwożliwych zajęcy i przebiegłych lisów, u sportsmeńskich gospodarzy, czyli jednym słowem, dział koni. Już to przyznać należy, że i nasza płeć piękna przedewszystkiem hołduje odwadze i zręczności rycerskiéj. A wystawa kościańska na téj drodze dała płci brzydkiéj nie małe pole do jéj względów. Ścigano się do mety o nagrody przez komitet wystawy wyznaczone. Ale czemże są owe trofea w porównaniu kilku spojrzeń łaskawych, któremi z trybuny, z tego ogrodu pełnego kwiatów zwycięzcę obdarzano; każda szczęśliwie przebyta przeszkoda, to jakby zmazanie czarnego punktu na czarnéj hypotece zadłużonego majątku. Każdy krok foll-bluta, wyprzedzający współzawodników o tyle zbliża do serc bogdanek szczęśliwych zwycięzców, o ile zwyciężonych oddala. A kto raz rzucił okiem na trybunę otoczoną girlandą naszych piękności, ten nawet bez konia, na dwóch własnych od Boga mu danych welocipedach gotów byłby stanąć w szranki, gdyby nie gromkie głosy bezustannie wołające na piechurów: zurück! zurück!

Ale od rzeczy odchodzimy. Mieliśmy mówić o koniach, a piszemy o sportsmenach. Różnica to wielka — chociaż po dokładnéj analizie przyznać musimy, że zawsze z sobą w parze chodzą. Co tam w chwili czynu przeważa, czy jeździec, czy koń, to ludziom kompetentnym zostawiamy do osądzenia. To cośmy na wystawie widzieli, przyznać należy bez pochlebstwa, że jedni i drudzy porówno sprawie sportsmeńskiéł zasłużyli się.

Zmęczeni pochodem, uskarżając się na niebo, na słońce i skwar przypominający temperaturę podzwrotnikową, w któréj jak Salamandra przez czas długi pozostać musieliśmy, o kilka kroków od jaśniejącéj słońcem i wdziękami trybuny, spotkalismy się z Eldorado zieloności, cieniu, kwiatów i spacerów czarujących. I mimo woli z ust ci się wyrwały słowa wieszcza, w których się pyta:

„Znasz li ten kraj gdzie cytryny i pomarańcze rosną?....“

Znamy! znamy! przybądź tylko wieszczu do Kościana a i ty go poznasz, odpowiedziałem mówiącemu do ucha duchowi. I rzeczywiście, w prześlicznéj altanie, pracy pana Auerbacha, w cieniu swojskich brzóz i pnącego się w górę bluszczu, jak Romeo do oczekującéj w górze Julii, stały dzieci południowéj przyrody przybrane przez północną matkę. Chcemy tu mówić o cytrynach, pomarańczach, kameliach i wielu innych exotycznych roślinach, dostarczonych na wystawę z cieplarni wielkopolskich. Po nad wszystkie uderzała pięknością, wielkością i kolorem kamelia, ów kwiat bez woni, uwieczniony pełnym wyrazu epizodem z powieści Przeglądu Polskiego. Jak dziewica bez duszy, strojna marmurowemi wdziękami wśród sióstr swoich, pełnych życia i gorącego czucia, taką owa kamelia miała postać w otoczeniu woniejącéj cytryny, orzezwiającéj pomarańczy i upajającéj zapachem stólistnéj róży. Klękasz przed nią, ale zimno katakumbowe usta ci ścina — uwielbiasz w milczeniu.

O ileż inny był wyraz sąsiadującéj z nią róży i lilii? Ta płonęła gorącym rumieńcem miłości a nieśmiało poglądająca nań lilia, jakby wstydem przestraszona nie ziemską oblała się bladością, i w tym stanie z różnych pobudek niezwykle podniesionych uczuć, obie kryły się pod cieniste, duże, pachnące na zewnątrz, ale wewnątrz przepełnione z życia uniesionym kwasem, pod rozłożyste drzewo cytryny.

Zapewne ten luksus przyrody wzrósł pod opieką białych i miękkich rączek Wielkopolanek, bo nawet ostrożne dotknięcie twardéj i żylastéj ręki mężczyzny zostawiłoby niezatartą bliznę na różowym listku, okrytym po zimnéj, z rannéj rosy kąpieli, świeżutkim puchem.

Za długo trochę pojmy czytelnika słodkim napojem, z kwiatów toczonym, przejdźmy więc z zaczarowanych ogrodów Semiramidy, do dziewiczych lasów Ameryki i nieprzebytych puszcz Litwy. Niedziw się czytelniku żeśmy aż na drugą półkulę zawędrowali. Jeżeliś nie był na wystawie Kościańskiéj, to żałuj i wierz nam na słowo, bo przypuszczając, że w zachwycie jest nieco egzaltacyi, to przyznać musisz, że jednak część prawdy na dnie spoczywa.

Oto słuchaj! Na kilkunastu stopach kwadratowych przestrzeni wznosi się w rodzaju groty altana, z rodzinnych świerków brzóz i jodły sklejona. Rzuć wewnątrz okiem, a wzrok twój błądzić będzie wśród najróżnorodniejszych roślin leśnych, ograniczonych w ciasne ramy wielkich wazonów. Tu rzewna brzoza z obwisłemi listkami łzami ziemię rosi, tam miękki modrzew jak Filon z Balladyny czule spogląda na sąsiadkę, a tu znowu dąb twardy i poważny szumnie macha skrzydłami, jak skrzydlaty husarz Bolesławów. Nie idźmy daléj, bo w tym labiryncie roślin, w téj puszczy cywilizacyjnéj moglibyśmy zaginąć i być pastwą drapieżnych zwierząt. Na zakończenie powiemy to tylko, że chwil kilka tam spędzonych przeniosło nas w czarowne ogrody raju, tak marnie przez Adama utraconego — złudzenie było tem większe, że i różowa jabłoń podniebienie nęciła i łakoma Ewa do spożycia zachęcała.

Ale oto znowu biednemu sprawozdawcy nowy ambaras przybywa. Nielitościwa redakcya stanowczo zakazała sprawozdanie przedłużać. Słucham, boż cóż nieposłuszeństwo pomoże. I tak chcąc niechcąc opuścić musimy tysiące przedmiotów pełnych interesu i ostatnim pociągiem wracać do Poznania. A owe młockarnie, żniwiarki, pługi, ta cała nowożytna Kalifornia europejska pozostać musi bez wspomnienia. O każdym z tych przedmiotów wiele dałoby się powiedzieć, bo każden z nich na szczególną uwagę zasługiwał. Dział przemysłu miejskiego na który publicystyka polska tak bardzo narzekała. miał także swe strony dodatnie. Przemysł niższych klas wiejskich niejednym wyrobem pożytecznym dał publiczny dowód, że szybko podąża za przemysłem klas wyższych. Słowem, bogatszy i uboższy, w surducie i siermiędze, wszyscy razem publiczne dali świadectwo, że Księstwo pożytecznie dla kraju pracować umie.

Szarada.

Pierwsze jest zwykle pytaniem głuchego.
A dobre płótna robią się z drugiego,
Trzecie jest pierwszą głoską w alfabecie,
Sądzę, że zgadniesz tę zagadkę przecie;
Tu jeszcze dodam, że w kalendarzu
Znajdziesz to w każdym — oj ty nudziarzu!

(Rozwiązanie szarady w nr. 22: **Szarada.**)

(Rozwiązanie zagadki w numerze 22: **Środa.**

Korespondencya Redakcyi.

Panu Dr. pod Obornikami. Przesłany rękopism drukowanym nie będzie. Za łaskawą pamięć dziękujemy. Panu S. M. w M. Dziękujemy; z grzeczności Pańskiéj będziemy korzystali. Panu M. L. pod Poznaniem. Nie wszystko jest złotem co się świeci. Księdzu z Prowincyi. Uwagi Jego są słuszne. Takich sprzeczności na każdym kroku wiele spotykamy. Do idealnego pojęcia cnoty, otaczające ją zbrodnie, najwięcéj pomagają.